

## ANIOŁY, KTÓRE MOŻNA ZOBACZYĆ

Zmierzałem autobusem 192 w stronę Starego Miasta, gdzie codziennie stawałem przy staromiejskim barbakanie i robiłem swoje. Kiedy mijałem Wisłę po głowie chodził mi Świetlicki w butach rozmiar 46 (zgaduję) - 'któregoś dnia rzeką Wisłą przyplynie statek piratów ... i zapytają: który to (...)? - a ja wtedy stanę na samym środku Rynku i będę wskazywać wszystkim...' Po drugiej stronie Wisły pomyślałem o poecie za złotówkę Janie Riesenkampfie, tyle kosztował jego tomik pod tytułem: „Wybrane”, który twierdził, nie bez racji, że Marcin Świetlik posiada niejakiego koczkodana i pingwina, od których wymaga, by pisały mu wiersze. Wyobraziłem sobie Świetlickiego, który próbuje wskazywać tego, tego, tamtą, wszystkim, jednocześnie dzierżąc na ręku pingwina a drugą ręką trzymając za łapę koczkodana, który drapie się po głowie i pod pachą.

Bezmyślnie dotarłem do stałego miejsca na barbakanie. Moje miejsce było zajęte przez nieznaną mi brunetkę, która malowała krajobraz Starego Miasta. Zamiast złości rodzaju „ktoś dopchał się do mojej miski”, poczułem ślepą sympatię i wybrałem miejsce obok. Z naturalną dozą melancholii i troski począłem dokładniej przyglądać się drapiącej biały materiał brunetce. (Można to odebrać jako wyznanie erotyczne, nie będzie miało się z prawdą). A ona bezmiernie pochłonięta była widokiem tego, co malowała. Jej miłość do pędzla widziałem jak linie papilarne na własnej dłoni.

Wyjąłem stos kartek ze specjalnego futerału. Otwarty futerał wielkości rondelka rozłożyłem przed sobą, podniosłem się godnie, nabrałem powietrza w płuca i machinalnie zacząłem pracować: „Dtttdrodzy Pppppapaństwo! Szszzanowne Pppapanie i szszzanowni Pppapanowie, oto jaja pppopoeta. Wfffwygrarałem ppppopowiatowy khhhhkonkurs ppppopoetycki...! Spppytacie: i csscóz zss tttego? Jaja nnnie jjjjjestem zzzwykłym pppopoetą, jaja jejejestem pppoetą, khhhhktóry sssssię jajajajaka i dla wfffwaszej zssszababawy, dttdla mmmnie zssza csssco łłłłaska bpppbębęde czzczytał wffwam wfffwybrane ppprzez wffffwas wffffwiersze!”

Przechodnie z ciekawością odwracali głowy w stronę mojej jākajającej się poezji. Ludzie, którzy w ciągu pół minuty stawali się fanami, a nawet koneserami mojej sztuki przystawali, tworząc rodzaj zgromadzenia miłośników zabawnie jākającego się barda. Futerał wypełniał się pieniędzmi, przeważnie złotówkami i dwójkami.

Wszystko zaczynało się od punktu na obwodzie, i najpewniej, skończyłoby się w tym samym punkcie. Pojakałbym się, pojakał, poszedłbym coś zjeść, kupiłbym fajki, bo zazwyczaj po pracy się kończyły i wróciłbym do

domu.

Z powodu tejże monotonności trwale napadało mnie dobrze mi znane pytanie: gdzie są moje syreny? Co z tego, że moi wielbiciele, okazywali swoje uznanie: „Stary, ty się marnujesz. Powinieneś iść do kabaretu... Długo się jąkasz?” – „Nnnnnno wffffwiecie cacale zszszycie... ale jaja wffffwygrałem ppppopowiatowy khhhkonkurs ppppopoetycki...”

Pochłonięty tłumkiem fanów i ich doskonałym wyczuciem poezji, zapomniałem o malarce. Po godzinie, z ciekawością wywołaną raczej przez znużenie niż zainteresowanie, rozejrzałem się i zobaczyłem ją ponownie. Wyglądała jak przedtem - perfekcyjne połączenie ekspresji i miłości. Jedynie płótno stawało się bardziej pokryte farbą. Kontury wyłaniały się z zamazanej białej powierzchni.

Niesamowity widok brunetki czy komunikatywny głód nikotynowy zasygnalizował przerwę w pracy. Kiedy jąkanie umilkło ludzie rozeszli się. We mnie samym nie było nic charakterystycznego, śmiesznego czy dziwaczного, co mogłoby ich w jakiś sposób poruszyć, rozbawić. Ludzie wracali na trasy spacerów lub odnajdywali się w innych rozrywkach, na przykład: śmierci, która słysząc brzdęk monety kiwała się strasząc dzieci i rozbawiając dorosłych. Albo odwrotnie.

Podglądałem malarkę. Wyobraziłem sobie nas razem. – Zamieszkamy w Bieszczadach. Ona będzie malowała, a ja będę pisał i wygram powiatowy konkurs poetycki imienia Edwarda Stachury.

Patrząc na nią myślałem o naszej wspólnej przyszłości i poruszałem tanecznie głową w tempie przeciąganego pędzla po materiale. Dotarło to do mnie po dłuższej chwili. Poczułem się niezręcznie, mając świadomość tego jak to wyglądało. Ona nie zauważyła, wsysana przez swój cudowny zachwyt nad tym, co widziała.

Moje matrymonialne plany rozwiały rześiste krople deszczu. Chmury zaczynały pękać. W ciągu kilkunastu sekund, mniej więcej w czasie, kiedy wymawiam proste zdanie pojedyncze, rozpętało się piekło. Szybko schowałem swoje kartki do futerału i ruszyłem w kierunku Rynku, by się schować. Malarka robiła to samo tylko nieudolnie. Z dziwnym niedołęstwem nie mogła zdecydować się czy najpierw zakryć swoje cenne płótno czy od razu schować je do pokrowca, przez co nie wychodziło jej ani jedno ani drugie. W swych poczynaniach była bezradna, cały jej zachwyt zniknął w sztywnej nieporadności.

Naturalnie postanowiłem jej pomóc. Stałem przyklejony do staromiejskiego bruku. „Ona jest niewidoma, to niemożliwe!”. Zobaczyłem białą laskę do tej pory schowaną w pokrowcu. Wyjęła ją i oparła o mur, by móc schować płótno. Hej!?? Rozejrzałem się czy aby ktoś widzi to samo, co ja. A ja widziałem niewidomą malarzkę krajobrazów. Hej!?? skierowanym jak się okazało do nikogo prócz niej. Wszyscy inni obok nas toczyli nierówną walkę z wodą. Ale nikt w śmiesznej panice nie zwrócił uwagi na malarkę.

Tamtego starszego człowieka widziałem już z pięćdziesiąt metrów od nas. Biegł trzymając gazetę nad głową, która widocznie zasłaniała mu nasz problem. Przebiegając obok trącił niezdarnie sztalugę, która wraz z niedokończonym obrazem niewidomej malarki upadła prosto w kałużę. Nie zajmowałem się wygrażaniem w stronę winowajcy, a przecież mógłbym wrzasnąć: „Kukukurwa, nnnnie wfffwiesz zsss kkim mmmaszz dtttdo czczynienia iiddtdioto, wfffywgrałem pppopowiatowy khhhkonkurs pppopoetycki!”. Zresztą w moim przypadku trwało, by to tak długo, że tamten i tak nic by nie usłyszał. Jednym szybkim podskokiem znalazłem się tuż obok niej. Obserwowałem jej oczy, były puste. Zręcznie podniosłem brudne i rozmazane płótno. Odruchowo przetarłem je ręką, dzięki czemu stało się rozkwaszone jak nos boksera (bez nazwisk) i schowałem je do pokrowca. W zamian usłyszałem jedno z najśłodszych „dziękuję”, jakie kiedykolwiek dotarło do mojej percepcji.

Przestało padać. Tak samo jak zaczęło się, skończyło się - nagle i niespodziewanie. Wyszło słońce. Promienie, co stało się zmysłową przyjemnością, oszalały, osuszały przemoczoną skórę, włosy i ubrania. Musiałem to wiedzieć, zatem spytałem: „Csssso mmmmamalowałaś?” - „Ach, to ty! Słyszałam, że byłeś jedynym uczestnikiem powiatowego konkursu poetyckiego... - ciepło i ujmująco uśmiechnęła się za swoim żartem - Kiedyś bardzo często tu przychodziłam, znam to miejsce na pamięć... Muszę już iść. Nie odprowadzaj mnie. A, i nie martw się obrazem.”

## NALEŚNIKI

Gosia mieszka w Pyrach. Jechaliśmy od niej napchani pizzami, popitą mlekiem szarlotką, którą w przyływie kulinarnych przechwałek upiekłem, no i piwem.

Ze szczerą sympatią śmialiśmy się z wsi i wiosek, chociaż to dziecinne i nie wypada. Bawiło nas to, że Pyry. Pyry, wiadomo, świat klusek, kluchów, kopytek, ziemniaków, kartofli, których świąty jadamy często i ze smakiem. Śmialiśmy się, że Pyrlandia jak koniec świata, że z Pyrlandii daleko jest wszędzie. Oczywiście przyjmując, że „wszędzie” to naokoło Pyrlandii, co Gosi zdarzało się, że przysparzało niewygód, szczególnie wtedy, kiedy było zimno. Gosia bardzo nie lubi zimna.

Jechaliśmy od niej. Pierwszą część drogi, spacer przez cmentarz i jazdę autobusem 709 mieliśmy już za sobą. Przed nami było jeszcze kilka przystanków metra.

Gosia nie pozbyła się jeszcze opakowanych własnoręcznie w papier i foliową reklamówkę przestarzałych, ale zjadliwych naleśników. Bez zbędnych wzniosłości uznała: „W domu nikt już ich nie będzie jadł, a szkoda wyrzucić. Wezmę ze sobą zostawię przy miejskim śmietniku, gdzie pewnie ktoś je znajdzie. Na coś się przydadzą.”

Zostawiła je przy śmietniku na stacji metra Pole Mokotowskie.

Naleśniki z serem dodały jej uroku, były seksy. Fenomenalnie tak. Naleśnikowa filantropia stała się jej czarem, czarem całego świata. Co więcej stała się doskonałą formą literacką.

Naleśniki z serem w chwili narodzenia się pomysłu straciły swoją martwą naturę - naleśnikowość, a zyskały nadzwyczajne osobowości, uśmiech, blond włosy i dwa cudowne pieprzyki na policzku.

Naleśniki leżały spokojnie, bez zbędnych emocji. Czekały aż przyjdzie po nie Janek śmierdzący niemilosiernie, z długą, niechlujną brodą, w dziurawym i brudnym do każdej nitki drelichu i powie: „Cześć naleśniki! Skazuję was na śmierć przez zjedzenie!”. Pogodnie pogodzone ze swoim losem, co zaowocowało humorem, postanowiły, że dopóki Janek nie przyjdzie, dopóty będą oddawać się ostatnim papierosom, rozmowom i innym naleśnikowym przyjemnościom. Naleśnik z prawej wraz z naleśnikiem z lewej zapaliły. Naleśnik ze spodu zagadnął do naleśnika z wierzchu:

- Wiesz, że jak Janek cię weźmie do ust to będziesz takim fiutem.

- Zamknij się!

-Tak, tak będziesz po tej ciekawszej stronie robienia druta, ha, ha, ha...

Pozdrów migdałki, ha, ha, ha...

- A ty niby co? Fiut z serem, ha, ha, ha...
- Przestańcie! Rzygać mi się chce!
- Nie bądź taki delikutaśny, ha, ha, ha... Jak dobrze pójdzie to tobą będą rzygać...
- Och! Ale będzie...
- Może się trochę ponaleśniczymy?! Nie żeby tak od razu tylko dla przyjemności. No wiesz, rozmnożymy się i będzie nas więcej dla Janka...
- Ale ty jesteś głupi! Przecież naleśniki nie umieją się naleśniczyć i mnożyć, nie mamy do tego odpowiednich organów... Poza tym ja jestem facetem i ty jesteś facetem... Hej wy tam, nie palić, robi się zaduch...
- Widzisz tu jakiś zakaz palenia. Naleśniczyć się a nie przeszkadzać porządnym naleśnikom, ha, ha, ha...
- Opowiem wam kawał: Przychodzi do lekarza naleśnik z kompleksem wyższości, lekarz się pyta, co panu jest?, a naleśnik - nadleśniczy! Ha, ha, ha...
- Dobrze, dobre, a znacie ten: Przychodzi do lekarza leśnik z naleśnikiem w dupie, lekarz się pyta, co panu dolega, a naleśnik - wszedł naleśnik na leśnika! Ha, ha, ha...
- Naleśniku z wierzchu, ser ci wystaje!...
- Bardzo śmieszne, zwinięty tłuszczochu!
- Cicho już, ktoś idzie...

To był Janek. Zobaczył naleśniki. „Cześć naleśniki. Skazuję was na śmierć przez zjedzenie”. Ukrył je pod pachą. Odszedł nieco dalej. A być może zjadł je u siebie, gdziekolwiek by to nie było, przygrzewając na starej, dziurawej patelni nad ogniskiem lub nad palnikiem. Najpierw naleśnik z wierzchu, potem naleśnik z prawej, naleśnik z lewej i naleśnik ze spodu. Mamy z Gosią taką nadzieję.

## ŻEBY WSZYSTKO BYŁO TAK PROSTE JAK KRAĞŁOŚĆ KSIĘŻYCA

*Maria Bożydar siedzi w tramwaju w towarzystwie pani Joli Bożejpodszewki, z którą zwykle robi cotygodniowe zakupy w supermarkecie. Wracają. Siatki z drogocennymi produktami rozstawione są na siedzeniach naprzeciw – dlatego nikt tam nie śmie usiąść. Nigdy nie dowiemy się czy torby leżą tam dla wygody pań czy wygody tych toreb, czy też dlatego, iż starsze panie nie życzą sobie, by naprzeciw nich ktokolwiek siedział. Mówią pretensjonalnie i jazgotliwie.*

MARIA BOŻYDAR: Wie pani co, niedawno jechałam do syna. Autobusem takim podmiejskim. Wie pani, ja często do niego jeżdżę.

JOLA BOŻAPODSZEWKA: No i co się stało?

MARIA BOŻYDAR: Niech sobie pani wyobrazi, że ostatnio autobus zmienił trasę i teraz jedzie osiem minut dłużej. Kierowca powiedziała mi jak się zapytałam, że jedzie teraz okrężną drogą na takie osiedle, a tam osiedla nie ma tylko domki jednorodzinne (*węszenie spisku*).

JOLA BOŻAPODSZEWKA: Nie może być proszę pani, co ci ludzie się nie nakłamią, czego to jeszcze nie wymyślą?! (*biadolenie*)

MARIA BOŻYDAR: A mówię pani, że musi być chyba tak, że jakaś radna uchwaliła, żeby podjeżdżał pod jej dom i żeby ona miała bliżej (*wywęszenie spisku*). A ja jadę osiem minut dłużej, a wie pani, że to trzęsie niebywale.

*Przejeżdżając obok niewielkiej, ale widocznej, kolorowej figury Matki Boskiej, zgodnie przeżegnały w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego przerywając rozmowę, zwracając oczy ku sufitowi tramwaju.*

MARIA BOŻYDAR: Ale to jeszcze nic, niech sobie pani wyobrazi, przyuważyłam, że dzieci jeżdżą za darmo. Tak, tak, mówię jak na spowiedzi –

*(tu pani Jola Bożapodszełka spoważniała jakby słuchała ewangelii) – pokazują tylko legitymację rozsiadają się i nie płacą. A ja płacę te trzy pięćdziesiąt, a one mają zdrowe nogi i nie płacą grosza, złodzieje, wszędzie sami złodzieje (biadolenie).*

JOLA BOŻAPODSZEŁKA: Ja pani mówię, że oni za te trzy pięćdziesiąt pójdą wódkę kupić i papierosy, widziała pani jaka ta młodzież *(załamywanie rąk)*.

MARIA BOŻYDAR: Tak. Święta jak najświętsza Maryja racja proszę pani. *Przejeżdżając obok potężnego kościoła, zgodnie przeżegnały w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego przerywając rozmowę, zwracając oczy ku sufitowi tramwaju.*

JOLA BOŻAPODSZEŁKA: Tak, tak, do czego to doszło proszę pani, co oni chcą z nas zrobić? Drugą Amerykę?! *(biadolenie)*.

MARIA BOŻYDAR: Nie proszę pani, nie Amerykę, drugi Izrael! *(najprawdziwszy lament)*.

*Nastąpiła krótkotrwała cisza.*

MARIA BOŻYDAR: Ma pani dorodne jaja.

JOLA BOŻAPODSZEŁKA: Pani widzę też są niczego sobie.

*Panie poczęły oglądać i dotykać wspomniane, spoczywające na wierzchu toreb jaja.*

## PUNKT WIDZENIA

Długie światła Forda przecinały drogę. Ona – Marta siedziała obok i przysypiała.

- Chyba w coś uderzyłem! – krzyknął wyrывая Martę z delikatnego półsnu.

- Nie wiem, nie wiem, nic nie słyszałam.

- Nie słyszałaś, bo spałaś. Mówię ci, że w coś uderzyliśmy!! – zawołał – Naprawdę w coś walnąłem! Coś mignęło przed maską i poczułem, że uderzyłem w to coś!

- Ale co? Co to było?

- A skąd mam do cholery wiedzieć?! Nie widziałem, szybko jechałem! Mówię, że jakaś czarna plama mignęła mi przed oczami i uderzyłem! – mówił z coraz większym przekonaniem i zgrozą, co posennie niedowierzającą Martę zamieniało w kłębek niepokoju.

- No to zatrzymajmy się – szepnęła bez przekonania.

- Może lepiej nie, może lepiej zostawić to coś, a może w nic nie uderzyłem, może mi się wydawało, dajmy spokój... A jeśli coś tam w tyle umiera, jeśli umrze... jeśli to się wyda, stracę firmę, pójdę do więzienia, ale przecież jest noc, ani żywej duszy, nikt nie mógł tego zauważyć... A może jednak należy się zatrzymać, może należy pomóc, cokolwiek to nie było, trzeba to sprawdzić, trzeba pomóc... – mówił coraz szybciej upodabniając się do niepoczytalnego. Nagle szybkim i pewnym ruchem kierownicy wykręcił wprawiając Martę w osłupienie.

- To było gdzieś tutaj, coś czarnego.

Zwolnił i uważnie obserwował szosę odsłoniętą przez długie światła.

- Jest, jest, o mój Boże jest! – wrzasnął, a jego niski głos skrył się w pisku hamulców.

- Gdzie? Nie widzę!

- O tu przed nami. Jest! Widzę!

Wysiadł. Marta z wielkim zdziwieniem obserwowała. W łunie długich świateł przeszedł kilkanaście metrów i nachylił się, według niej, nad pustym asfalem. Uklęknął. Nerwowo próbował jej coś powiedzieć gestami. Podniósł się z kolan i biegiem wrócił do samochodu.

- Chyba nie żyje!

- Co? Gdzie?

- No jak co? Jak gdzie? Kurwa, nie widzisz, że trup tam leży, jakiś facet z całą twarzą we krwi...

- Jesteś zmęczony. Proszę, wracajmy do domu! – uspokajała go.

- Teraz nie możemy wrócić! Teraz musimy coś z tym zrobić. Z nim, z trupem! Mam chyba w bagażniku szpadel. Wiesz, co wziąłem na działkę, chyba go jeszcze nie odłożyłem do szopy – wyskoczył z samochodu i podbiegł do bagażnika – Jest! Mówiłem, że jest!

- Kochanie uspokój się, przecież tam nic nie leży, wracajmy!

- Zostań w samochodzie!

Podbiegł do miejsca gdzie, według niego, leżał trup. Zwłoki usadowił na rękach i uniósł je. Przeszedł na skraj lasu. Zrzucił trupi ciężar i rozpoczął kopanie.

Marta nie opuszczała samochodu. Patrzyła na niego. Drgała. Według niej niczego nie przeniósł z szopy na skraj lasu. Według niej zachowywał się jak mim.

- Zabiłem go, kurwa, zabiłem! –

Marta siedziała w klatce samochodu i płakała. Wreszcie wysiadła. Podbiegła do niego. Próbowwała odciągnąć od kopania grobu.

- Zostaw mnie! Trzeba usunąć ślady! Zakopać ślady!

- Tu nikogo nie ma! Co się z tobą dzieje?! – pokazała ręką dół, który wykopał.

- Tu leży, nie widzisz głupia babo! Tu! Trup! Trupa nie widziałaś?! – przerwał kopanie i wskazał palcem tuż pod swoje nogi – Nie widziałaś?! Głupia dziwko! Czekaj!

Miała dość. Wróciła do Forda. Płakała i modliła się o to, aby nikt tędy nie przejeżdżał, aby on jak najszybciej skończył to, co robił. Marta nie wiedziała, co on robi. Patrzyła na zaangażowane, silne wymachy szpadla otłuszczone długimi światłami. Gdy skończył, wsiadł do samochodu. W milczeniu odjechał. Nigdy później z nią o tym nie rozmawiał.

## POSTĘPOWE GŁUCHE

Ciepło i równowaga poranka nie zapowiadały linczu. Wieść o śmierci pani Bernsztajn rozeszła się po wsi z szybkością wiadomości radiowych, gdy Bierka spał jeszcze w stodole. Mieszkańcy Postępowych Głuchych zgromadzili się gniewnie pod gospodarstwem, w którym ostatnimi czasy nocował. Nie mieli sprecyzowanych zamiarów, kierowała nimi złość i chęć naprawy tego, czego już nie można było naprawić. Domagali się wydania Bierki, tego mordercy.

Uczył zło. A jednak do tego doszło, dobrnęło do zła wykonanego, przemyślanego. Przez te wszystkie miesiące bał się wyłącznie o to, czy będzie na tyle śmiały, aby przeprowadzić cały plan do finalnego zła. Nie rozczarował się.

Zdążył pogłodzić żółte piórka. Szybkiem, zdecydowanym ruchem ręki śmiertelnie wygiął łepkę kanarka. Odciął główkę, żeby wszystko, wyglądało na celowe działanie. Bywał tu wcześniej, więc znalezienie nasercowych leków pani Bernsztajn nie sprawiło mu kłopotu. Wykraść je i po cichu wydostać się z posesji. Uciekał, ale nikt nie odmówiłby mu gracji. Otaczały go cienie traw i gałęzi, wiatr cesał mu włosy. Przystanął, aby w gęste akacje wyrzucić medykamenty pani Bernsztajn. Uśmiechnął się, nie czuł nic, nie bał się. Myślał tylko o dotarciu do domu, gdzie żona w jego łóżku i Bierka w jego stodole – spali. I on szybko zasnął, nie mogąc doczekać się poranka i wydarzeń, które ze sobą przyniesie.

Zakradł się przed dom pani Bernsztajn. Wiedział w każdym zawitym detalu jakie działanie będzie zakończeniem jego wielomiesięcznej, algorytmowej pielgrzymki. Z rozkoszą, dotykiem ręki przecesał kwiaty w ogrodzie staruszki, o które dbała jego żona. Zerwał różę i przyłożył do nosa. Przez chwilę zanurzył się w zapachu, lecz zaraz wyrzucił kwiat za siebie jakby przesadnie i wszedł oknem do domu pani Bernsztajn.

Często z żoną, która zajmowała się jej ogrodem, przychodzili, zresztą jak większość mieszkańców, pomóc staruszce. Przynosił owoce ze swojego sadu, pomalował wypłowiały płotek, nieraz sprzątnął podwórko, naprawił szafkę, zlew, piecyk. Nigdy nie oczekiwał niczego w zamian i nie prosił o nic, choć praca w sadzie nie zapewniała mu dostatku. Ludzie szanowali go za to i ufali mu, a jego intymny plan wiódł się. Odmawiał za każdym razem, gdy kładła na stole pieniądze. Za kolejną naprawę piecyka zaproponowała telewizor mówiąc „Mnie to już i tak nie potrzebne, ja tylko potęsknię i to mi starczy za wszystkie rzeczy tego świata.” Telewizor zabrał od niej ktoś inny.

Pani Bernsztajn, uważana za najzacniejszą i najznakomitszą osobę we wsi, wymagała opieki. Jej całodobowym towarzyszem i najcenniejszą pamiątką był kanarek, którego dostała od nieżyjącego już od roku męża – jej trwającej

ponad pięćdziesiąt lat wcielonej miłości. Był to ostatni podarunek, jaki jej wręczył. Pan Bernsztajn umarł w nocy dwa dni później. (Dopiero diagnoza lekarska mówiąca o wylewie krwi do mózgu, oznajmiła podejrzliwym mieszkańcom, że to nie Bierka jest sprawcą jego śmierci.) Zajmowała się kanarkiem jak grobem męża, jak żywym pomnikiem ich wspólnego, udanego życia.

Po śmierci pana Bernsztajna zorganizowała się swoista symbioza pomiędzy panią Bernsztajn a mieszkańcami wsi. Staruszka posiadała dar niemalże boski, przyciągała do siebie otwartością, humorem, optymizmem i pieniędzmi. Jej osoba czysta jak źródło górskiego potoku magnesowała całe Postępowe Głuche. Wszyscy pomagali. A to ktoś robił zakupy, a to przyniósł węgiel, a to zajął się drobiem i bydłem (dwoma krowami), a to posprzątał, a to zaprosił na gwiazdkę i te święta na wiosnę. Wraz ze zbliżaniem się świąt wzrastało napięcie i nieznaczny rozstrój wspólnoty we wsi. Każdy chciał ugościć panią Bernsztajn, ponieważ odwdzięczała się zwykle pomocą finansową (pan Bernsztajn zostawił jej niespodziewanie duże oszczędności). Ludzie losowali, kto przygarnie staruszkę.

Bierka jako jedyny nie odwiedzał pani Bernsztajn. Ludzie wiedzieli, że w przeszłości miał zatarg z jej mężem. Podobno chodziło o ich wspólną, zaszłą inwestycję, w konsekwencji której Bierka stracił wszystko, co było dlań drogic: gospodarstwo i żonę, która, po tym jak stracił wszystkie pieniądze, opuściła go wraz z dziećmi. Bierka zaczął pić, szwendać się bez celu po wsi. Czasem dopracowywał gdzieś i sypiał gdzie popadnie. Odgrodził się od idyllicznej poetyki życia w Postępowych Głuchych. Stał się dumnym wyrzutkiem, a to zawadzało miejscowym. Choć we wsi wiedziano i szeptano na pogaduszkach sklepowych, że pieniądze pani Bernsztajn to te stracone przez Bierkę.

Mieszkał już w Postępowych Głuchych wystarczająco długo, by wiedzieć o Bierce, o panu i pani Bernsztajn, o jej problemach z sercem, o kanarku. I wedle jego prawidła: „A dlaczego miałbym tego nie zrobić?” w ciągu sześciu miesięcy rozmyślnie i w pełni oczarował mieszkańców wsi: od listonosza po ekspedientkę sklepu spożywczego, od sąsiada po najodleglejszego gospodarza. Nawet Bierka go polubił, doceniając to, że pozwalał spać w stodole i czasem pracować w sadzie za jedzenie i trochę grosza. Pedantycznie pielęgnował swoją pracowitość, uczynność i uczciwość. To wszystko miało wzmocnić jego autorytet i pomóc jego zamysłom.

Podczas pogrzebu pana Bernsztajna melancholia i żałobny płacz pani Bernsztajn zakłócone zostały przez zataczającego się Bierkę, który, dopóki go nie wyprowadzono z cmentarza i taktownie nie pobito, krzyczał powtarzając wciąż: „Dobrze ci tak ty stary oszuście, i czyje teraz jest na wierzchu?!”.

„Bierka jest odpowiedni” – pomyślał wtedy. Jego własnoręcznie wykonywane strachy na wróble i szpaki spodobały się ludziom, bo były nadzwyczaj duże i wymyślne. Choć dzielił się owocami, ludzie przychodzili do

sadu czasem tylko po to, by owe strachy oglądać. To był początek. Dobrze, choć nieufnie, jak to przybysza, przyjęto go we wsi. W wolnych chwilach pisał wiersze dla żony, którymi chwaliła się sąsiadkom. Mówiono: „poeta”.

Mieszkał z żoną w Postępowych Głuchych od niedawna. Sprowadzili się tu, ponieważ kupił sad jabłoni i śliw.

## KLAWISZE

Doktor Enter siedział w kącie dobrze oświetlonego pomieszczenia, które służyło pracownikom zamkniętego zakładu psychiatrycznego jako rodzaj świetlicy-palarni. W jasnym pokoju można było odpocząć od pyskatych i natrętnych pacjentów. Enter siedział i pił swoją owocową herbatkę, którą przynosił z domu (zakładowa przyprawiała go o mdłości). Enter siorbał. Wzrok miał mętny, schowany w białej farbie dokładnie rozłożonej na ścianie.

Przy stole pielęgniarka Delete przeglądała się w podręcznym lusterku, co jakiś czas wrywając sobie pincetą brwi jedna po jednej.

Pielęgniarze Shift i Alt stojący w oknie wychodzącym na parking przypominali sobie przypadłości i ekscesy bywalców tutejszego zakładu. - A pamiętasz takiego jednego – mówił wysokim, komedianckim tonem Shift - Co to go do nas przywieźli latem. Z pozoru normalny chłopak, ale jak go naszło to łamał sobie ręce. Wkładał rękę między drzwi i framugę i trzaskał drzwiami dopóki nie poczuł gruchotu miażdżonej kości, póki nie zobaczył własnej kości.

Siostra Delete zakończyła pastwienie się nad brwiami, teraz wrywała włosy z głowy; precyzyjnie wybierając kępki włosów; kępki jedne po drugich szły pod pincetę.

- Ty Shift, a pamiętasz tamtego takiego? Ten to dopiero...

Tu Alt przerwał ledwie rozpoczętą historyjkę. Podszedł do drzwi i realizując wspomnienie Shifta włożył rękę w szparę między futryną i drzwiami i trzaskał, walił drzwiami. Uderzenia pokrywały się w świetlicowej przestrzeni z okrzykami bólu. Kość ręki z częstotliwością uderzeń powoli pękała.

Delete z charakterystyczną sobie lekkością pochyliła się, położyła pincetę i lusterko na podłodze. Ze zręcznością gimnastyczki wykonała gwiazdę zakończoną pojedynczym saltem. Tym sposobem przemieściła się w stronę biurka, wyjęła zeń małe nożyczki. Z równie sportową eterycznością wróciła na uprzednie miejsce przy stole. Chwyciła lusterko, przejrzała się, przeczesiła resztę pozostałych, niesymetrycznych kołtunów na głowie i zaczęła ciąć rzęsy. Wybiórczo. Cięła.

- Tak, tak, masz rację. A pamiętasz Alt jak gościliśmy u nas pajaca, który non-stop wrywał sobie włosy? – mówił Shift nie zmieniając wysokiego, komedianckiego tonu głosu i lekceważąco kiwnął głową na Delete; nie zwracał uwagi na to, że Alt łamie sobie właśnie rękę na przeciwnym końcu pokoju. Zachowywał się jakby Alt nadal przed nim stał – Wszędzie te włosy sobie wrywał: na głowie, na klacie, na jajach, na nogach. Ciągłe się ranił, bo czasami używał narzędzi: noży, obcęgow, śrubokrętów. A inny to chorobliwie wybijał szyby, o tak! – Shift zwinął rękę w pięść i uderzył w okno. Krew wypłynęła z

przedramienia – A potem podnosił kawałek szkła i ciął się od stóp aż do głowy, poczynając zwykle od twarzy, o tak...

Kość tuż za nadgarstkiem stała się widoczna. Alt upadł z uśmiechem spoconego, wymęczonego zabawą dziecka, tarasując drzwi ciałem jak kamieniem.

Do pokoju wszedł pielęgniarz Escape, który wrócił właśnie z obchodu. Otwierając drzwi przysunął Alta do ściany. Rozejrzał się, zmrużył oczy, które chciały coś powiedzieć. Ale oczy zamknęły się, roztwarły się usta. Węzły niezrozumiałych słów, podobnych do świergotu ptaka rozeszły się po świetlicopalarni. Wreszcie zamiast chimerycznych haseł z jego ust wydobył się palący wrzask. Escape wybiegł machając nad sobą rękami.

Delete rozebrała się i pincetą zaczęła wrywać włosy z łona. Doktor Enter siedział poruszając czasem ręką w celu napicia się owocowej herbatki przyniesionej z domu. Kubek był pusty. Siorbał.

## DEMONY RACJI

Poszło o Rację, choć równie dobrze mogło pójść o kobietę, klub sportowy czy papieża. Kuchnia, miejsce ich ówczesnego pobytu, nasączona była dymem papierosowym jak bandaż nasączony bywa spirytusem. Na stole stały dwie butelki: jedna z tequilą, druga tuż po tequili. Podłoga ubabrana była we krwi – w mieszaninie krwi członka mafii o imieniu Ze i członka mafii o imieniu Fo. W obrębie krwi Rh+ leżał Fo, który zginął tragicznie w wyniku jednej rany klutej zadanej mu przez współtowarzysza. Zaś Ze, którego trup brodził we krwi Rh– zmarł w skutek rany postrzałowej zadanej mu przez Fo.

Poszło o Rację. Ze zakpił z Racji Fo. Wtedy z Racji Ze zadrwił Fo. Następnie odbyła się wyzywająca wymiana zdań (Racji), a w smutnej konsekwencji niekontrolowana wymiana śmiertelnych ciosów, pchnięć, strzałów. Tak oto ciała przyjaciół spoczywały na podłodze kuchni ochlapanej krwią Rh+ i Rh–.

Pierwszy podniósł się Fo. Spojrzał na ciało Ze i będąc pewny jego zmartwychwstania usiadł przy stole otwierając pełną butelkę tequili.

- Wstawaj Ze! – zawołał niecierpliwie Fo.

Posłuszne powieki wywołanego zaczęły ponownie trzepotać. Ze dosiadł się i rozejrzał po kuchni:

- Trochę żeśmy przesadzili drogi Ze, nie sądzisz? – mówiąc to miętosił szklanek z alkoholem – Porozmawiajmy mój drogi i napijmy się spokojnie jak trup z trupem – Fo zdziwiła jego własna uprzejmość i nieskrepowana kurtuazja, którymi nieoczekiwanie operował – Choć może zamiast tequili powinniśmy napić się krwi – roześmiał się z własnego żartu, lecz zaraz nastąpiła krótka, krępująca cisza.

Fo, jako że to on zasugerował dialog, zaczął pierwszy. Poza tym śmierć dodała mu masę argumentów. I poczuł, że były to argumenty pełnowartościowe, właściwe:

- Pomyśl jak kiedyś zachowywał się Sa. Twierdził, że chodziły za nim martwe dzieci. Nieprawdaż? Tak mówił. Nikt oprócz niego ich nie widział, powiedzmy, że to wymyślone, narkotyczne stwory. To one doprowadziły biedaka do szaleństwa i dlatego musieliśmy go wyeliminować z naszych szeregów. Można mu było wierzyć lub nie, ale załóżmy, że naprawdę je widział, lub wydawało mu się, że je widział, co na jedno wychodzi. To kto miał Rację: on, który je widział, czy ja, ty, którzy ich nie widzieliśmy? Racja jest po stronie większości, ale czy tak być powinno?

- A może jest tak drogi Fo – grzeczność, nie znana dotąd Ze, natchnęła go również – że wszyscy mają rację, to znaczy, że każdy punkt widzenia jest

prawdziwy w zależności od przedstawiającego tę Rację. Szkoda tylko, że każdy walczy o własną Rację, bije się, chce by jego było na wierzchu.

- No tak, ale podając przykład wiary w Boga, zapomnę tu na chwilę o zapleczu tradycji i historii, i przyjmując, że wszyscy mają Rację to Bóg jest i jednocześnie go nie ma. To znaczy, że co?, że istnieje pół Boga? Może jednak jest tak, że nikt nie ma Racji, Racja wtedy jest niewiadoma, nierozstrzygnięta.

- Tak. Albo wszyscy mają Rację, co jest nie do pomyślenia, albo nikt nie ma Racji. To drugie jest zdecydowanie bliższe prawdzie, a może nawet zakrawa o Rację.

Przez kuchenne okno wpadły pierwsze promienie wschodzącego słońca. Fo ogarnęło zawstydzenie, bo pobrzaski światła, kiedy tknęły jego skóry bolały jak oparzenie. Pospiesznym podskokiem dostał się do okna i zaciągnął żaluzje.

- Drogi Ze, czy ty wierzysz w wampiry?

- Drogi Fo, a czy ty wierzysz w anioły? – Fo odwrócił się i wskazał palcem szczątkowe skrzydła wyrastające mu z barków.

